Kiedyś, przed laty, w okresie młodzieńczej "burzy i naporu", gdy poszukiwałem wiary, wyznałem głośno: Gdy wejrzałem w siebie, tylko w siebie - oto tam nie ma Boga; gdy patrzę na ludzi - wierzę, Bóg jest. Wyznanie to było bardzo szczere i ważne dla mnie.

W tamtym czasie często czytałem "Treny", inaczej "Lamentacje Jeremiasza". Przytoczę kilka wierszy tego utworu: "Na co może uskarżać się człowiek, póki żyje? Niech się uskarżą na swoje grzechy!... Dlaczego chcesz na zawsze zapomnieć o nas, opuścić nas na tak długi czas? Spraw, Panie, byśmy wrócili do ciebie, a wrócimy! Odnów nasze dni jak niegdyś!" (Treny 3, 39; 5,20.21, Biblia Warszawska).

Potem nawiedziła mnie rozpacz taka, że wydawało się, że nie jestem w stanie niczego już zrobić. Tak jak dawniej nie miałem problemów z nauką (w okresie studiów osiągałem dobre i bardzo dobre wyniki), wówczas (a był to ostatni rok studiów) myślałem, że nie ma mowy o napisaniu pracy magisterskiej, a nawet zdanie najprostszego egzaminu jest już poza moim zasięgiem. Chodząc po mieście, nawet nie bardzo zauważałem, że z moich oczu płyną łzy i trzęsie się broda. Pojawiły się też inne niepokojące objawy.

Któregoś razu, idąc tak po mieście, pomyślałem: Dlaczego jestem taki niemądry? Przecież są ludzie, którzy radują się Bogiem, są otwarci, przyjaźni. Wcześniej wydawali mi się naiwni, może nieco śmieszni... a moja postawa, moje myśli oczywiście wydawały mi się mądre i poważne. I co z tego, gdzie teraz jestem?!

Tamta refleksja okazała się początkiem przełomu. Po jakimś czasie, pewnej styczniowej nocy zawołałem w głos: Panie Jezu, przecież wiem, że Ty za mnie umarłeś. Jakby łuski opadły z oczu. Zacząłem czytać Biblię z nowym nastawieniem (wcześniej czytałem, dużo, bo tak trzeba było), wszystko w niej okazało się jasne i dobre. Były noce, że nie mogłem się oderwać od Słowa Bożego. Mottem życia stało się wiersz z Rzym. 10, 9: "Bo jeśli ustami swoimi wyznasz, że Jezus jest Panem i uwierzysz w sercu swoim, że Bóg wzbudził go z martwych, zbawiony będziesz".

Ukończyłem studia. Podjąłem inne zadania: praca, dalsze nauki, budowa domu etc. Dzięki Bogu, podejmowane zamierzania zakończyły się ich wykonaniem. Życie niosło różne doświadczenia, problemy, niektóre zapewne spowodowane własnymi błędami, inne były (i może są) niezrozumiałe.

Kiedy przed kilkoma laty umarła moja mama, miałem takie doświadczenie. Po telefonie od mojego brata, że mama nie żyje, nastąpiło odrętwienie. Mogłem już się spodziewać, że śmierć przyjdzie wkrótce - mama miała udar i po okresie poprawy zdrowia, nastąpiło gwałtowne załamanie. Zawsze jednak pozostaje nadzieja... Po pewnym czasie dotarła do mnie myśl: Należy oberwać śliwki, bo już są dojrzałe; następnie: Trzeba przygotować ciasta na poczęstunek po pogrzebie i zawieźć je jutro, w przeddzień pogrzebu, wesprzeć domowników zmarłej (mojego ojca, brata z rodziną).

Umierały też inne bliskie mi osoby. Zwłaszcza osoby, z którymi jest się na co dzień, pozostawiają pustkę. Tak było po śmierci mojego teścia... Cmentarz zawsze kojarzył mi się ze smutkiem, przemijaniem, końcem człowieka. Kiedyś jednak, pewnego wrześniowego dnia, będąc na cmentarzu w mojej rodzinnej wsi na Podlasiu, poczułem błogi spokój i radość - "błogosławiony będziesz na polu" (V Mojż. 28,3) i można by rzec: i na cmentarzu - tam, gdzie złożono ciała twoich bliskich i tam, gdzie ciebie kiedyś złożą.

Rozpacz wdziera się do mojego serca, nie wiadomo skąd. Często wydaje się, że to strach przed ludźmi, konieczność podejmowania wielu trudnych decyzji i to w obecności, na oczach wielu ludzi. Ale potem się zdarza, że nawet gdy nie ma takich sytuacji, ona już się czai, już się wdziera, obezwładnia. Wszystko wydaje się wielką górą, ze strachem słyszę o nowych obowiązkach i zadaniach. Co zaskakujące też, po wspaniałych duchowych przeżyciach również się ona pojawia. Opowiem o dwóch sytuacjach.

Przed tygodniem w środę mieliśmy wspaniałe (jak nierzadko się zdarza) studium biblijne. M. in. rozmawialiśmy o miłości Bożej wobec nas i czy my sami ją odczuwamy. Było cudownie (prawie). A rano w czwartek znów się pojawiła, ona. I to całkiem mocno. Ale wtedy przyszła myśl: Trzeba zająć się dziećmi, robić śniadanie itd. Przestałem myśleć o sobie... o niej. Ustąpiła.

A potem sobota. Dzień wolny od pracy, od trudnych decyzji, od świadków. I znów się rozpacz pojawiła. Ale też pojawiła się myśl: Trzeba dokończyć posprzątanie domu, pomóc w czymś,

zająć się... W niedzielę ktoś zadzwonił o pomoc - człowiek zrozpaczony, zdesperowany, sam. I już nie chodzi o to, że mu jakieś myśli przychodzą do głowy. Musi zrobić to i owo, a nie ma już sił, nie ma środków. Zadzwoniłem jeszcze po kogoś i razem pojechaliśmy. Jak uradowana była ta osoba oczekująca pomocy, jak się uspokoiła, nabrała otuchy. Następnego dnia miałem jej jeszcze coś pomóc, ale okazało się, że już ktoś inny udzielił tej pomocy.

Trzymam się miłości. Rozpacz zepchnięta.

Jak to się dzieje? Jak to się dzieje, że rozpacz jest spychana, a miłość zwycięża? Dzieje się to niepostrzeżenie. Pojawiają się dobre filmy, książki, spotkania z ludźmi. Z książek, które ostatnio przeczytałem, była "**Moja droga do wiary**" Ole Hallesby'ego. Okazała się dla mnie jedną z najlepszych książek chrześcijańskich. Codziennie pokrzepiam się też "
Klejnotami obietnic Bożych
" Ch.H. Spurgeona.

Jan Mironczuk